

— Aż do dnia, w którym dowiedziałam się, że ubóstwiany przezemnie mąż, był nicponiem i szulerem...

— Czy być może?

— Zgrywał się codziennie, nieraz do ostatniego rubla, w resursach i pokątnych szulerniach. W domu naszym zapanowała bieda i niedostatek... a ponieważ potrzebował ciągle pieniędzy na zaspokojenie swej ohydnej namiętności, podpisał kilka weksli znanymi nazwiskami ludzi bogatych...

— I cóż? i cóż?

— Fałszerstwo stwierdzono wkrótce. Wtedy aby nie stawać przed sądem, uciekł z Warszawy, pozostawiając mnie w najokropniejszej nędzy...

— I nigdy już potem do ciebie się nie zgłosił?

— Nigdy.

Zapanowało długie milczenie.

Eugenia, mocno wzruszona, uściśnęła serdecznie ręce przyjaciółki, która otarłszy łzy cisnące się do jej oczu, mówiła dalej:

— Wówczas to najęłam ten pokój, aby w nim ukryć wstyd i boleść moją... a teraz koję zmartwienie ciężką i wytrwałą pracą.

— O, moja Franiu! ten człowiek zasługuje na karę. Mam w Bogu nadzieję, że będziesz pomszczoną.

— Nie pragnę zemsty... chciała-bym tylko zapomnieć...]

Eugenia powstała z krzesła.

— Moja droga — rzekła — żal mi cię bardzo, bo widzę, że go kochasz jeszcze. Bądź pewną, że teraz, gdy wiem o wszystkim, często tu przyjdę, żeby cię pocieszyć... Mówić będziemy o szczęśliwych dniach naszego dzieciństwa...

— Zastaniesz mnie zawsze po południu! Urządę się tak umyślnie, żeby z rana przynosić i odnosić robotę.

— Ale teraz, pozwól mi, żebym ci chwilowo, w miarę środków, dopomogła. Przyjmując sprawisz mi wielką przyjemność. Nieraz nie wiem, co mam zrobić z pieniędzmi.

— Dziękuję ci. To co zarabiam, na życie mi wystarcza... Chciej jednak wierzyć, że za twoje dobre serce jestem ci bardzo wdzięczną... bardzo, bardzo wdzięczną!

— Ile zarabiasz?

— Haftując bieliznę na wyprawy dla bogatych panien, w ciągu dwunastu godzin... jeśli nie stracę ani minutki na próżno... mogę zarobić od pół rubla do siedemdziesięciu kopiejek dziennie...

— Moja biedna Franiu!

Lecz pracując w ciszy i samotności wspominam czasy, gdy byłam jeszcze w domu rodziców, którzy mnie kochali, pieścili... a może i psuli, nie zaprawiając do trudnej walki z życiem... i dzień po dniu, chociaż smutny, mija prędko... niemal niespostrzeżony...

Późno już było.

Eugenia uściśnęła serdecznie Bogajewską i zbiegła z trzeciego piętra, aby wsiąść do dorożki i powrócić do domu.

XII.

Ostatnie dni stycznia pokryły dachy domów warszawskich grubą, białą oponą.

Od dni kilku trwające zawieje zasypywały śniegiem ulice, z którym stróż nie mogli sobie dać rady, chociaż odgarniali z chodników kilka razy dziennie.

Około pierwszej południu, wśród nierównych i głębokich mas posuwał się jednokonnny karawan, na którym spoczywała na czarno pomalowana sosnowa trumna. Złożono w niej zwłoki biednej Klary, której duch przed dwoma dniami uleciał w krainę wiecznego słońca. Za karawanem postępowali powoli: stara kobieta i troje dzieci.

Babka, podtrzymywana przez bladego jak śmierć Janka, i obie dziewczynki, zgębnione i z sił wyczerpane, dowlokły się z trudem na cmentarz, gdzie we wspólnej mogile nbogich pochowano ciało suchotnicy. Oni — tych czworo — stali czas jakiś przy grobie, milczący, jakby senni, wstrząsani od czasu do czasu zimnym dreszczem, a łzy zamarzały im w oczach i na twarzy.

Pierwsza ocknęła się ślepa.

— Chodźmy dzieci, chodźmy — rzekła. — Matka wasza jest szczęśliwą... już nie cierpi.

Późnym wieczorem, o zmroku, wrócili na Chmielną.

Przed bramą czekał na nich stróż.

— Więc rzecz postanowiona, proszę paniusi, jutro paniusia się wyprowadzi.

— Tak — odparła Żarska.

— Och, gdyby człowiek prosty, jak ja nieprzywierając, był kamienicznikiem, to Bóg świadkiem, nigdybym paniusi nie wyrzucił. Dałbym wam jedną stancyjkę nie dużą, ale nie wziąłbym za nią ani grosza. Moglibyście do śmierci siedzieć w niej sobie spokojnie.

Staruszka wyciągnęła rękę i milcząc uściśnęła spracowaną dłoń stróża.

Powrót do mieszkania, oświetlonego małą, kuchenną lampką naftową, był dla niej bardzo przykry. Prawie wszystkie meble, za zezwoleniem właściciela domu, który koniecznie chciał się pozbyć nieszczęśliwych lokatorów, sprzedane zostały z ko-



...posuwał się jednokonnny karawan...

lei, jeden po drugim. Dzięki tym sprzedarzom nędzarze mieli co jeść czas jakiś, a ślepa odłożyła nawet nieco grosza na przeniesienie reszty niezbędnych sprzętów do innego mieszkania i na opłacenie kosztów przeprowadzki.

— Co jednak będzie potem? — myśli staruszka, przesuując się jak cień po pokojach i macając rękami, czyby nie dało się znaleźć jeszcze czegoś na sprzedaż. Pamięta dobrze miejsca, w których stał każdy mebel, a gdy go nie znajduje, szepcze cicho:

— Wyniesiony... sprzedany.

Dotykając pustych, zimnych ścian zgorączkowaną dłonią, czuje, że prawie nic nie ma. Pozostało tylko wspólne łóżeczko Zosi i Sabinki — i siennik, na którym ślepa sypia wraz z Jankiem.

Wróciła do jadalni, w której dzieci tulą się do ledwie letniego pieca. Siadła na jednym z dwóch pozostałych krzeseł, tak zniszczonych, że żaden z handlarzy nabyć ich nie chciał.

Woła do siebie Janka.

Chłopiec posłyszawszy jej głos — zadrżał. Domyslił się, że staruszka ma mu powiedzieć coś

bardzo ważnego, więc uczuł zimny pot występujący na czoło. Zbliżył się do ślepej.

— Co babunia rozkaże? — zapytał.

— Nie nazywaj mnie babunią! — odburknęła Żarska tonem ostrym i surowym. — Wiesz przecie, że babką twoją nie jestem. Mówiłam ci to nieraz.

— Ale pani mnie wychowała — szepnął Janek smutnie.

Stara zamilkła. Wyciągnęła ręce i położyła je na pomierzwionej czuprynie chłopaka, który pod tem dotknięciem zatrząsł się, jak w febrze.

Co ona mu powie? Dlaczego milczy tak długo?

Kurczy się i zęby zaciska, czuje bowiem, że w wyrazach, które usłyszy, zawarty będzie jakiś groźny wyrok.

— Nie mogę zatrzymać cię dłużej. Musisz nas opuścić i szukać środków zarabiania na życie. Nie wiemy same, co się z nami stanie, nie chcę więc pociągać cię z sobą w naszą nędzę. Jesteś nam obcy. Nie powinienesz podzielać naszej hańby, ani naszej niedoli.

Janek milczy z głową spuszczoną na piersi.

Wtem odgłos dalekich dzwonów kościelnych, wzywających na „Anioł Pański“ obija się o uszy wszystkich. Staruszka, jakby bezwiednie kreśli znak krzyża świętego na piersi. Sabinka i Zosia przystępują do okna, żeby lepiej słyszeć czarowne dźwięki, a chłopiec, chociaż ich melodia zdaje się nim kołysać, nie rusza się z miejsca i stoi wciąż przy Żarskiej.

Dzwony cichną po chwili.

Ślepa — już tklawiej i serdeczniej — mówi dalej:

— Nie miej do mnie żalu, mój Janku, za to, co powiedziałam. Gdybyś wiedział i rozumiał, jak bardzo biedni jesteśmy!

— Dokądże ja pójdę? — jęknął dzieciak, składając ręce, jak do modlitwy. — Taki słaby jestem... Co pocznę?

— Tu byś umarł z głodu. Ostatnia nędza czyha na nas. Wkrótce zabraknie nam może nawet suchego chleba. Masz już lata, w których inni pracują na utrzymanie... Od jutra, pójdź poszukać dla siebie roboty... Postaraj się, a znajdziesz.

— Poszukam — odpowiedział chłopiec.

Nie protestował, nie bronił się, nie rzekł więcej i słowa, tylko zasunął się w najciemniejszy kąt pokoju, usiadł na podłodze i twarz ukrył w dłoniach. Sabinka i Zosia do niego przybiegły. Tyle szczerego smutku dostrzegł w ich załzawionych oczach, że pierś mu wdzięcznością wezbrała. Serce Janka bić zaczęło gwałtownie, a bicie to sprawiło mu nieopisaną rozkosz.

Obie dziewczynki pieściły go i całowały, jakby przybranemu braci-skowski wynagrodzić chciały boleść, przez babkę zadaną. Ona zaś, odgłosem ich pocałunków wzruszona i już żalująca słów wyrzeczonych, przycisnęła do siebie wszystko troje i razem przycisnęła do łona.

— Byłam szaloną! — szeptała — tak, szaloną! Przebac mi Janku. Nie, nie, nie! domu naszego nie opuścisz, gdziekolwiek bądź się przeniesiemy. Nie rozstaniesz się z nami nigdy... nigdy!

Dzieciak rzucił się w objęcia ślepej i przeba-czył — lecz nie zapomniał.

Myśl, że jest ciężarem dla istot najdroższych, trwogą i smutkiem napełniła jego duszę. Całą noc nie mógł zmrużyć oczu. W mózgu wątłego dziecka budziły się wątpliwości i skrupuły. Wyrzucał sobie, że dotychczasową bezczynnością zwiększył ciężar utrzymania rodziny.

Zaciśniętymi kurczowo pięściami otarł łzy, spływające mu po twarzy i zadumał się głęboko.

Wyrazy babki wryły się w jego sercu ognistymi zgłoskami i wypaliły w niem ranę, która nie rychło się zagoi.

Ha! niema rady, trzeba „swoich“ opuścić i iść w świat szeroki.

Ciąg dalszy nastąpi.